TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Vol. 3. Nr. 34 (139) Nowy Jork, 2 września — New York, 21, N. Y., September 2nd, 1945. Cena 20 ct.



MIKOŁAJ KOPERNIK *Rysunek Stanisława Szukalskiego*

Muszą mówić o Polsce

Wypadki ostatnich tygodni, coraz nowe zdarzenia z kroniki politycznej świata potwierdzają raz po raz słuszność dwu prawd, któreśmy zawsze głosili. Pierwszej że jakkolwiek zmieniałyby się konjunktury, Polska jako jedno z najważniejszych zagadnień Europy jest tem samem i będzie zawsze kluczowym problemem ogólnoświatowym. I drugiej: że mimo, iż siły, które nas zmogły i te, które na tę przemoc przystały są niewspółmiernie od nas potężniejsze — przyszłość nasza w znacznej mierze zależy od nas samych, od tego, abyśmy nie poddali się niewoli, nie dali na nią zgody. Wypadki, o których mówimy — to przedewszystkiem oświadczenie prezydenta Trumana po powrocie z Poczdamu i pierwsza mowa Bevina jako ministra spraw zagranicznych; poza niemi przecież codzień niemal jakieś zdarzenie przypomina o Polsce, którą tak bardzo chcianoby zapomnieć. Więc spór gorszący na zjeździe UNRRY o pomoc dla Polaków, więc trudności ambasadora Lane'a w kontaktach z Waszyngtonem, więc odgłosy z obozów wojska polskiego, które odmawia powrotu do Polski, rządzonej przez Gepeu i Bieruta.

Nie twierdzimy bynajmniej, że zdarzenia tu wymienione są dla nas pomyślne, wręcz przeciwnie; niemal wszystkie one uświadamiają nam, że niewola Polski nie jest to jakiś koszmar, co się rozwieje za chwilę, ale rzeczywistość, uznana, choć bezprawnie, już prawie przez cały świat.

I Truman i Bevin mówiąc o Polsce, trzymają się jak ewangelji — Jałty, każdy zaś Polak wie, że Jałta zostanie na wieki w naszej historji jako nazwa przeklęta, jako symbol dokonanego na nas bezprawia i przemocy.

Ale, godząc się na rozbiór Polski, biorąc czy też udając, że biorą za rzetelną polityczną monetę owo najbardziej cyniczne fałszerstwo, jakim jest rzekomy rząd polski w Warszawie — zarówno prezydent Truman i Bevin nie mogli przecież powiedzieć, że w Polsce panuje wolność i że jej przyszłość jest jasna. Truman nietylko przez wzgląd na Polonję Amerykańską, Bevin nietylko dlatego, że Rosja zagraża coraz bardziej Brytyjskiemu Imperjum; obaj oni mówili z niepokojem o Polsce, bo poprostu sumienie świata więc i ich sumienie nie zna i nie może już zaznać w sprawie polskiej spokoju.

Jest to doprawdy niepojęte, jest to strasznem świadectwem ślepoty i słabości polityki anglosaskiej, że obie te mowy tak pełne zakłopotania, tak o Polskę zatroskane wygłoszone zostały w dwa miesiące zaledwie po San Francisco, gdzie można było przecież, manewrując umiejętnie zaprosić rząd polski z Londynu i w ten sposób uratować możność grania naszą sprawą; nie chce się wierzyć, że Anglja i Ameryka pragnąc wyraźnie rzetelnych wyborów w Polsce, nie zdołały ich wymóc w Poczdamie jakąś stanowczą a rzetelną groźbą.

Dlatego ani z mowy prezydenta Trumana, ani z deklaracji Bevina, choć o tyle szlachetniejszej, niż wszystko co w ostatnich paru latach mówili o Polsce Churchill i Eden, nie snujemy żadnych złudnych nadziei, poza owym niepokojem sumienia, poza ową platoniczną troską o prawdziwą demokację w Polsce nie widzimy w nich jeszcze nic politycznie istotnego, żadnego rzeczywistego znaku, że owa troska nie skończy się na słowach czy jak to było w sprawie procesu moskiewskiego, na czczych pogróżkach.

Niemniej przecież jedno jest faktem. Pół Polski zostało zagrabione a reszta oddana w niewolę, złamane zostały cynicznie wszystkie pakty i przyrzeczenia, zgwałcono prawo międzynarodowe, podano w pośmiewisko wdzięczność i braterstwo broni, pozwolono Rosji robić z nami choćby najgorsze co chciała — wszystko po to, aby Stany Zjednoczone i Wielka Brytanja miały wreszcie święty spokój.

I otóż nie mają one tego spokoju. Muszą pić piwo, którego same sobie nawarzyły i które będzie coraz gorsze w smaku. Zgodziwszy się na despekt stosunku z Bierutem i Rzymowskim — pp. Byrnes i Bevin — już się przekonali, że zostali wciągnięci w ordynarną zasadzkę, przez trzy lata wytrwałych trudów wyhodowawszy sobie pana Mikołajczyka na to, czem jest dzisiaj, pan Eden oświadcza po powrocie z Poczdamu, że spotkał się z członkami rządu warszawskiego "bez przyjemności."

Z mowy Bevina, z oświadczeń pana Byrnesa w sprawie bułgarskiej jasno wynika, że Stany Zjednoczone i Anglja poczynają rozumieć, iż ich polityka we wschodniej Europie kończy się katastrofą, co zaś jest już szczytem tragikomizmu polityki angielskiej — to biadanie Churchilla nad skomunizowaniem Europy, jakby to nie on właśnie walnie do tego się przyczynił, jakby nie on dobił Michajłowicza, nie on otumanił Mikołajczyka, nie on uznał Bieruta.

I cóż za ironja losu, jeszcze jedna z tylu, co uczyniły taką piekielną groteską zwycięstwo demokracji! Dwa kraje z pośród zagrabionych przez Rosję, o których wolność Anglja i Stany Zjednoczone uważają, że mają prawo dopominać się — są to właśnie satelici Hitlera: Rumunja i Bułgarja. Czyli, że, jak okazuje się, najlepiej wyszli ci, co walczyli z Rosją, gdyż uniknęli przez to najgorszego: to znaczy się, tak zwanych "rządów jedności narodowej" w guście Tita i Bieruta, uznanych przez Anglosasów za prawowite i niezależne.

W sprawie bułgarskiej, skutkiem tego, pan Byrnes grozi i żąda, w naszej zaś — ambasador Lane

może conajwyżej grzecznie (choć bez "przyjemności") prosić pana Rzymowskiego o wyjaśnienie, na co ten może mu zaproponować, aby pilnował swego nosa.

Gdyby nie chodziło tu o miljony istnień ludzkich, nietylko o byt państwa naszego, ale poprostu o sam byt naszego narodu — chciałoby się śmiać serdecznie na myśl, że przecież jeszcze dwa miesiące temu miał Zachód w rozgrywkach z Rosją taki atut wspaniały, jak rząd polski prawowity, przy którym obstając, szłyby Anglja i Ameryka zarazem za sprawiedliwością, honorem, prawem, braterstwem broni i co nie najmniej ważne za najprawdziwszym własnym interesem.

Prawa Polski, w istnieniu i postawie tego rządu, w zasługach armji polskiej wyrażone — były jasne i bijące w oczy każdego sprawiedliwego człowieka; obrona tych praw, po tem co Polska przeszła i uczyniła, była napewno najbardziej zrozumiałem i popularnem hasłem do tej walki, w którą Anglja już weszła a Stany Zjednoczone, chcąc nie chcąc, wejść będą musiały.

Stanowczo nie jesteśmy zdania, aby ta walka była równie popularną, równie szlachetną, jeśli wytoczona będzie o wolność Rumunji i Bułgarji, które jakkolwiek możemy ich dziś żałować, walczyły przecież z Rosją po stronie Hitlera.

Oczywiście, im wyraźniej widać jaką było katastrofą dla Polski uznanie tak zwanego "rządu warszawskiego" — tem bardziej wzmaga się odpowiedzialność tych Polaków, którzy do tego uznania dopomogli.

Udział pana Mikołajczyka w rządzie Bieruta — było to owo minimum warunków Anglji i Stanów Zjednoczonych wobec Rosji, poniżej którego zejść one nie mogły, było to owo rozgrzeszenie ich przed światem, bez którego nie mogły się były one ważyć na grzech dobicia Polski.

Gdyby panowie Mikołajczyk i Stańczyk nie pojechali do Polski — sprawa nasza byłaby dziś światowym skandalem, któryby zmusił Stany Zjednoczone i Anglję do interwencji, o odzewie w świecie stokroć oczywiście silniejszym niż sprawa bułgarska i o innej zupełnie wadze.

Po tem, co pan Mikołajczyk uczynił, podpisując rozbiór Polski w Moskwie, po tej hańbie jakiej dopuścił się pan Stańczyk, sprzeciwiając się pomocy UNRRY dla głodnych Polaków — możemy już sądzić bez "pudła" o szansach owej "pracy dla kraju", która była pretekstem ich zbratania się ze zdrajcami Polski, krycia zdrady własnemi nazwiskami.

Tak zwany "rząd warszawski", któżby dziś już nie mógł o tem wątpić — jest to poprostu narzędzie Rosji nietylko do zniszczenia niepodległej Polski, ale również do moralnego zniszczenia jej w oczach świata, do przerzucenia na samych Polaków winy za zbrodnie sowieckie w Polsce, za wszystkie jakże mile widziane na Zachodzie wypadki w guście bicia Żydów pod okiem rzekomo "polskiej" policji.

Dlatego też nie mamy żadnych wątpliwości jak będą wyglądali na kartach naszej historji nie ci nieszczęśni Polacy w Kraju, którzy są zmuszeni do współpracy z owym rządem zdradzieckim, ale ci wolni, co na ochotnika przyłożyli rękę do zdrady, do niewoli narodu, do jego niesławy.

Wiedząc już co robią pp. Mikołajczyk i Stańczyk nie jesteśmy wskutek tego ciekawi przyszłych czynów pp. Strasburgera i Kota.

Tłumaczenie się prezydenta Trumana po Poczdamie, żałosne zabiegi pp. Attlee i Bevina, aby rząd warszawski nie gnębił Polaków — to dowód, że sprawa polska grzebana coraz głębiej w Teheranie, Jałcie i Poczdamie — nie da się pogrzebać, ani krzywda polska zagłuszyć.

Zaś podpis pana Mikołajczyka pod rozbiorem Polski, głos pana Stańczyka — za zagłodzeniem Polaków — jest to straszna przestroga dla tych, co chcą ich naśladować; to zarazem świadectwo, że nie może być innej polityki dla wolnych Polaków, jak wołanie o naszej krzywdzie, jak wierność prawu i przysiędze, jak domaganie się prawdziwej wolności i walka o tę wolność.

POCHLEBSTWA SOWIECKIE WOBEC NIEMCÓW



"Doświadczenia historyczne uczą, iż Hitlery przychodzą i odchodzą, że jednak naród niemiecki i państwo niemieckie pozostaje" — taki to wyjątek z mowy Stalina zdobi dziś berlińskie ulice.

JAN WOLNY

NAD ODRĄ I NISSĄ

I.

Granice nowej Polski są już ustalone. Na Wschodzie Bierut, Osubka, a tym razem już i Mikołajczyk, ostatecznie i formalnie zrzekli się połowy polskiego terytorium narodowego, przyjmując w charakterze odczepnego dwa drobne rolniczo-leśne kawałki gruntu na Wschód od linii Curzona. Wzamian za to będą musieli podnosić wspaniałomyślność i szczodrobliwość Kremla. Grodna, wbrew temu co pisała prasa, nie dostali: wiadomość jest nieprawdziwa. Na Wschód od nowej granicy zostało według Prezydenta Trumana 3, według Bevina 4, w rzeczywistości ponad 6 milionów rdzennych Polaków, wliczając w to mniejszości polskie w Litwie, Łotwie, Bessarabii i Bukowinie, oraz w samym Związku Sowieckim. Z tej jednej czwartej narodu polskiego 5 procent, bo 305 tysięcy, wyjechało do nowej Polski. Ile jeszcze wyjedzie, zobaczymy. Świat anglosaski przyjął nową granicę polsko sowiecką z dobrodziejstwem inwentarza: nikt oficjalny w Waszyngtonie czy Londynie nie uważa, żeby Polsce stała się krzywda. Zresztą sami Polacy, kwiat demokracji w jałtańskiem zrozumieniu, zrzekają się pół kraju — pocóż ma to kogo obchodzić? Jednocześnie na południowym zachodzie ci panowie z Lublina w trzeciej już instancji przegrali Zaolzie. Mimo nacisków ze strony Lublinian, anglosasi umyli w Poczdamie ręce od trudnej sprawy polsko-czeskiej, a mogli to zrobić tem łatwiej, że to nie Kremlowi, ale jego warszawskiej agencji na tem zależało.

W tym samym Poczdamie nakreślono nową zachodnią granicę Polski. Decyzja powierzenia tymczasowej administracji polskiej terytoriów niemieckich na wschód od Odry i Nissy Łużyckiej i na południe od linji Brunsberga-Gołdap jest dla Polaków faktem niemniejszej wagi historycznej od utraty przez nich wschodniej Polski. Na sytuację tą trzeba spojrzeć wyraźnie i bez wprowadzania się w błąd. Niema wiele danych na to, aby konferencja pokojowa miała zmienić linię ustaloną w Poczdamie. Granica ta będzie trwała tak długo, jak długo potrwa system światowy, ustalony w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Jeśliby miała się zmienić w pokojowy sposób, to tylko naszym kosztem.

W decyzji poczdamskiej Polska o tyle tylko brała udział, że Gauleiter (czy może namiestnik, jak w. ks. Konstanty?) Bierut w towarzystwie kilku cywilnych i wojskowych kolegów spędził parę dni w Poczdamie i miał tam sposobność obrony swego punktu widzenia przed anglosasami. Tam to, jak mówi Churchill, Polacy mieli okazję zrobienia błędu i nie omieszkali jej wyzyskać.

O prawdziwą opinię kraju ani cudzoziemcy, ani wielkorządcy warszawscy nie pytali się równie dobrze przy Szczecinie i Wrocławiu, jak poprzednio nie interesowali się nią przy Wilnie i Lwowie. Prawdziwa opinja kraju nie mogła ujawnić się przed Poczdamem i wobec tego nie ponosi odpowiedzialności za to, co się tam stało. Nie jest ona nawet w stanie zajęcia wobec tego stanowiska, ponieważ drogi jej ujawnienia są zgóry zamknięte. W nowej Polsce decyzje, pobierane za kulisami, podawane są do wiadomości publicznej, ale oświetlane być mogą tylko w dodatniem świetle. Kontrola publiczna, która jest pierwszym atrybutem demokracji, nie może być tam sprawowana nawet ex post, w odniesieniu do faktów już dokonanych. Uprawnienie do politycznego myślenia zastrzeżone tam jest dla cieniutkiej warstwy osób działających in camera. Nawet logiczna interpretacja faktów nie może tam iść zadaleko, gdyż jest ona sama przez się swobodnym procesem myślowym i może prowadzić do wniosków, które w wolnych krajach są dobrem prawem każdego obywatela, ale w lubelskiej Polsce wiodą na niebezpieczne dla władzy manowce myślowe i w konsekwencji na Syberię.

W rezultacie Polak w Polsce nie wie, jak doszło do nowej granicy zachodniej. Tembardziej nie wie, czy to co się stało, jest dobre, czy złe, czy wreszcie dobre i złe równocześnie. Nie wie także, jaką reakcję decyzja poczdamska wywoła zagranicą, oraz co z tej rekcji wynika obecnie i wyniknie, lub może wyniknąć w przyszłości. Są w Polsce ludzie, którzy umieliby mu to powiedzieć. Ale objektywnie nikt tam zabrać głosu nie może, bo Bierut i Osubka są ponad krytyką.

Nie mamy złudzeń, aby głos Tygodnika docierał do Polski. Ale czytają go tutaj i tacy, którzy mają zamiar powrotu do kraju. I dla tych, co stale mieszkają w Ameryce, lub nie mają chęci opuszczania wolnego świata, odtworzenie sobie zgrubsza przebiegu wypadków, prowadzących do decyzji poczdamskiej i oświetlenie jej w możliwie objektywnem świetle, może być wartościowe tembardziej, że poza Ameryką ilość wolnych pism polskich kurczy się z dniem każdym.

Projekt granicy polskiej na Odrze i Nissie nie wylągł się oczywiście w polskiej partji komunistycznej, ani w niemal identycznym z nią Związku Patrjotów w Moskwie. Komuniści, prowadzący zaciekłą walkę z państwowością polską i mający jeszcze mniejsze niż gdzieindziej oparcie w zachodnich dzielnicach Polski, publicznie przez dwadzieścia lat oświadczali w rezolucjach partyjnych, że gotowi byli zrzec się Śląska i Pomorza. Mówili to z tą samą łatwością, z jaką w 1939 r. uważali, że Polska może, czy nawet powinna, utracić nietylko Lwów i Wilno, ale Białystok i Łomżę. Drang nach Westen Bieruta i Wasilewskiej nie powstał w ich własnych głowach, lecz został im zlecony w Moskwie, która lepiej od jej polskich agentów oceniła, że pozytywne — w sensie sowieckim rozwiązanie sprawy polskiej wymaga przelicytowania skromnych planów aneksyjnych na Zachodzie, nieśmiało formułowanych przez rząd w Londynie i przez polski ruch podziemny. W sierpniu 1944 p. Mikołajczyk usłyszał z autorytatywnych ust na Kremlu opinię, że Polacy, którzy burzą się z powodu utraty Lwowa i Wilna, uspokoją się, gdy armia czerwona da im w podarunku terytorja niemieckie bez porównania bogatsze od wschodniej Polski. Zarys nowej granicy nie był jeszcze wyraźny, ale sama jej teza była postawiona ponad wszelką wątpliwość.

Chęć sowiecka ułatwienia sobie sytuacji w Polsce przez demagogiczne zaspokojenie ambicyj polskich była i

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

jest niewątpliwym motywem postępowania sowieckiego w tej sprawie, bynajmniej jednak nie najważniejszym. W istocie rzeczy Odra i Nissa stają się granicą Związku Sowieckiego, poszerzonego o dependencję Polski, nominalnie niepodległej, ale w praktyce stuprocentowo zależnej gospodarczo i wojskowo od Rosji. Sowiecka obrona "praw" Polski do Śląska i Pomorza w szerokiem tych pojęć zrozumieniu jest w istocie akcją za rozszerzeniem terytorium bezpośredniej kontroli sowieckiej. Prędzej czy później, kontrola ta będzie zniesiona w zonie okupacji rosyjskiej w Niemczech; dla nowej Polski terminu wyjścia jej z pod kurateli sowieckiej niema. Za pewną ilość lat wojska sowieckie wycofają się dla przykładu z Drezna; ale sowiecki generał Zawadzki pozostanie kontrolerem Wrocławia pod pozorem tego, że jest polskim wojewodą.

Jeszcze ważniejszym i zapewne centralnym motywem sowieckim za tak dalekiem przesunięciem granicy zachodniej Polski jest chęć uzależnienia Polski od Rosji, nie związanego z formą rządów i charakterem polityki w obu tych krajach. W żadnych dających się przewidzieć okolicznościach Niemcy nie mogą wybaczyć Polsce amputacji tylu prowincyj niemal rdzennie niemieckich. Jeśli Hitler pociągnął za sobą 100 procent opinji niemieckiej przeciw granicy 1939 r., to jacy Niemcy w przyszłości godzic się będą na granicę 1945 roku? Polskie słupy graniczne na Odrze są w istocie gwarancją i petryfikacją sporu polsko-niemieckiego. Jeśli w przyszłości, która może być niedaleka, Niemcy zabiorą się do rewindykowania straconych prowincyj, to jedyną materialną osłoną słabszej od Niemiec Polski może być armia czerwona. Przecież ani Czesi, ani Francuzi nie będą bronić na własną rękę granic Polski. Ale "ostoja" armji czerwonej nie jest gwarancją posiadania przez Polaków ich nowych zachodnich terytorjów, bo nikt, nawet sam Kreml, nie może powiedzieć, w jakich warunkach będzie postawiony program rewindykacyjny niemiecki, i jakie wiatry polityczne będą podówczas dąć na Placu Czerwonym. Aby móc bronić swych (i polskich) interesów politycznych w tej hypotetycznej epoce, spadkobiercy "przeczyszczonych" już zapewne Bieruta i Osubki (nie mówiąc o Mikołajczyku) będą musieli być bardzo, bardzo grzeczni i usłużni dla Moskwy: im dalej na Zachód granica — tem milsi, i tem większą cenę gotowi płacić za szansę uruchomienia sowieckich bomb atomowych.

pracowania możnaby przytoczyć i omówić inne sowieckie motywy za granicą polską na Odrze, zwłaszcza względy gospodarcze i reparacyjne o doraźnym, jednorazowym charakterze. Ale dla ogólnego zrozumienia tezy sowieckiej są one zbędne, bo jest ona i tak jasna. Przyłączając do Polski ogromne i bogate prowincje niemieckie, Rosja zmywa częściowo poprzednio dokonaną grabież Wschodniej Polski. Ale za tę kompensatę, a w szczególności za jej utrzymanie, Polska musi płacić Rosji weksle, których termin, wysokość i charakter będą ustalane jednostronnie przez Rosję. Żaden termin spłacenia tego długu nie jest przewidziany: będzie on trwał tak długo, jak świat Jałty i Poczdamu.

W artykule niniejszym, pierwszym z trzech zamierzonych na temat nowej granicy zachodniej, rozpatrzyliśmy powody, dla których Rosja wysunęła tę linię graniczną i osiągnęła tymczasowe jej uznanie przez Amerykę i W. Brytanię. Stanowisko rządu warszawskiego nie miało w tym okresie najmniejszego znaczenia: Bierut i Osubka zrobili to, co im w Moskwie zlecono, a Mikołajczyk uznał fakt dokonany i starał się go wykorzystać i obronić. Ale mocarstwa anglosaskie przyjęły granicę na Odrze i Nissie niechętnie oraz pod przymusem, tylko dlatego, że wojna była jeszcze nieskończona, i z powodu wciąż trwającego ich kompleksu niższości wobec Rosji.

Dla Rosji i dla Polaków z Warszawy — a może i dla Polaków wogóle — nowa granica zachodnia nietylko została ustalona faktycznie, ale powinna pozostać bez zmiany. Dla Amerykan i szczególnie dla Anglików jest ona, zgodnie z tekstem uchwały poczdamskiej, tylko prowizorium. Jeśli w układającym się nanowo świecie Anglosasi będą mieli dość siły i odwagi, to w ostatecznym traktacie pokojowym przesuną tę granicę na niekorzyść Polski. Jeśli nie będą na siłach, to przyjmą ją narazie z tem samem zastrzeżeniem mentalnem, z jakiem zwłaszcza Anglicy uznali w r. 1923 granicę ryską, t. zn. do chwili, w której nowe okoliczności historyczne pozwolą im na rewizję linji granicznej na Odrze i Nissie w kierunku dla nich bardziej racjonalnym, a w każdym razie bardziej tradycjonalnym. Dwadzieścia lat temu znany mi, dobrze poinformowny Anglik radził po przyjaźni pewnemu Polakowi z Poznania, aby nie osiedlał się na stałe w Krzemieńcu na Wołyniu. Kto wie, czy ten sam Anglik nie radziłby dzisiaj innemu Polakowi, aby nie przenosił się pod Lignicę, czy do Kołobrzega.

W następnym artykule omówimy stosunek myślącej opinji amerykańskiej i brytyjskiej do nowej granicy zachodniej Polski i wpływ tej opinji na stanowisko rządów mocarstw anglosaskich, teraz i w dalszej przyszłości. W trzecim artykule pokusimy się o rzecz bardzo trudną, mianowicie o próbę ustalenia rozsądnego i uczciwego stanowiska polskiego wobec dokonanego faktu nowej granicy.

WHAT DID GREAT BRITAIN FIGHT FOR?

. . . FOR WE ARE CALLED, WITH OUR ALLIES, TO MEET THE CHALLENGE OF A PRINCIPLE WHICH, IF IT WERE TO PREVAIL, WOULD BE FATAL TO ANY CIVILIZED ORDER IN THE WORLD.

It is the principle which permits a State, in the selfish pursuit of power, to disregard its treaties and its solemn pledges; which sanctions the use of force, or threat of force, against the sovereignty and independence of other States. Such a principle, stripped of all disguise, is surely the mere primitive doctrine that might is right; and IF THIS PRINCIPLE WERE ESTABLISHED THROUGHOUT THE WORLD, the freedom of our own country and of the whole British Commonwealth of Nations would be in danger. But far more than this THE PEOPLES OF THE WORLD WOULD BE KEPT IN THE BONDAGE OF FEAR, AND ALL HOPES OF SETTLED PEACE AND OF THE SECURITY OF JUSTICE AND LIBERTY AMONG NATIONS WOULD BE ENDED.

This is the ultimate issue which confronts us. For the sake of all that we ourselves hold dear, and of the world's order and peace, it is unthinkable that we should refuse to meet the challenge.

It is to this high purpose that I now call my people at home and my peoples across the seas, who will make our cause their own. I ask them to stand calm, firm, and united in this time of trial. The task will be hard. There may be dark days ahead, and war can no longer be confined to the battlefield. BUT WE CAN ONLY DO THE RIGHT AS WE SEE THE RIGHT, and reverently commit our cause to God. If one and all we keep resolutly faithful to it, READY FOR WHATEVER SERVICE OR SACRIFICE IT MAY DEMAND, then, with God's help, WE SHALL PREVAIL.

May He bless and keep us all.

King George VI, Sept. 3, 1939 (From text of the broadcast)

JERZY BAZAREWSKI

MOI SĘDZIOWIE

Do Baranowicz przyjechałem w pierwszych dniach kwietnia, 1940 roku. Sześćdziesięciu niegolonych ludzi przemaszerowało ulicami martwego miasta, dziarsko ochlapując chodniki rozbijanem na środku ulicy błotem. Ludzi z którymi jechałem, znałem już. Tłukłem się przecież z nimi po wszystkich ciupach od chwili aresztowania; razem wypuszczano nas dwa razy dziennie do ustępu, razem zabijaliśmy pierwsze znalezione wszy.

Po baranowickiej ulicy, z jednej strony obok mnie szedł student medycyny wileńskiego uniwersytetu, z drugiej jedyna w naszym transporcie kobieta. Przy pewnej, szczególnie błotnistej kałuży, wzięliśmy z medykiem panią na ręce żeby nie musiała wejść do błota po kolana. Eskortujący żołnierz krzywonogi i ospowaty szturchnął mię natychmiast kolbą w plecy: "U nas wszyscy chodzą na własnych nogach... Nie wolno nikogo nosić na rękach!..." Za miastem była szosa wysadzana młodemi wierzbami. Pierwsze witki rzucały na idących więźniów nieśmiałe, zielone uśmiechy. Myślałem co też będzie z nami dalej. W areszcie mówili nam codziennie że siedzimy jedynie dlatego, że niema wyższej władzy. Po przyjeździe do miasta "obłastnowo", oczywiście, natychmiast odzyskamy wolność. Wierzyłem w to. Nie było przecież żadnych powodów dla których mieliby nas nie zwolnić. Wprawdzie, przypominałem sobie, że z Wilna wywieźli już w moich oczach tyle tysięcy ludzi i nikt jeszcze nie wrócił... Ale mimo to na dnie serca czaiła się nadzieja. Zwolnią.

Szosa kończyła się przed więzienną bramą. Odemknęła się druga brama. Weszliśmy. Postawiono nas plecami do ściany. Kilkakrotnie wydano rozkaz aby nie rozmawiać. Mój medyk powiedział z uśmiechem i bardzo cicho: teraz powinni nas rozstrzelać.. Ale nie rozstrzelali. Jakiś gruby kamandir który usłyszał wyznanie medyka bardzo się oburzył: wyście zwarjowali czy co? Poco mamy was strzelać? Pójdziecie poprostu... na pewien czas do więzienia. Potem pojedziecie do pracy. Nam potrzebni są uczciwi obywatele z których wielka sowiecka ojczyzna będzie miała pożytek.. W tej chwili jesteście jeszcze pełni faszystowskiego ducha. Ale wychowamy was....

Odbyła się jeszcze jedna, któraś tam rewizja. Było, przyznam się bardzo śmiesznie. Szukano po dwudziestu chyba poprzednich rewizjach jeszcze raz broni i już nie wiem czego. Rozebrani do naga wykonywaliśmy poważne ćwiczenia gimnastyczne mające na celu ujawnienie ukrytych w intymnych częściach ciała... rewolwerów i granatów. Po rewizji w czasie której odebrano ostatnie Matki Boskie Ostrobramskie i jakieś małżeńskie pierścionki przechowane podczas poprzednich rewizyj, poszliśmy do łaźni. Na ścianach było wiele nazwisk i dat. Były tu pozostawione przez więźniów wywiezionych do Rosji.

Kazano założyć ręce w tył i poszlimy po cichych jak śmierć korytarzach. Stanąłem przed czarnym prostokątem metalowych drzwi, oznaczonych numerem 19. W półmroku tliło się wiele dziesiątków spojrzeń. Ludzie brodaci i śmiertelnie bladzi, wypełniali celę aż do drzwi. — Na mi-



ŻOŁNIERZE II KORPUSU Z WYCHOWANYM PRZEZ NICH NIEDŹWIEDZIEM

łość boską jak ja tu wejdę? — rzekłem do dozorcy. Wygolony Tatar odpowiedział szturchnięciem kluczami: "dawaj, zachadzi, ja tibia dam tiesno..."

Ludzie siedzieli w sposób zupełnie niepojęty. Pod narami leżeli głowa przy głowie. W środku celi stłoczeni byli szeregami. Usiadłem w kucki przy drzwiach. Zasypano mnie pytaniami. Skąd pan, kiedy pana aresztowali, co słychać na świecie, jak tam wojna z Niemcami, czy Francja już walczy, czy jest nasze wojsko zagranicą, czy.....

Odpowiedziałem jak mogłem wyczerpująco. Pytałem sam z kolei, czy, przepraszam bardzo, panowie dawno tutaj siedzą? Padały odpowiedzi: dwa miesiące, trzy, pięć.

O czwartej rano, nazajutrz, z hukiem otworzyły się drzwi i wielkie chłopisko ryknęło: dawaj na aprawku! Mimo niezłej znajomości rosyjskiego, nie bardzo wiedziałem o co drągalowi chodzi. Cela runęła do drzwi, wyrzucając mnie, siedzącego przy drzwiach jak z procy. Chodziło poprostu o ustęp; obejrzawszy go pochwaliłem w myślach idealną czystość panującą w czasie największych jarmarków w podobnej instytucji ustawionej na środku rynku w Pińsku. Ale nie było czasu na wspomnienia bo cela runęła biegiem spowrotem. Zaraz potem znowu otworzyły się drzwi i cerber powiedział: dwa czełowieka za czajem. Poszły "dwa czełowieka". Do herbaty bez cukru i z jakimś tłuszczem dostaliśmy po pajdzie chleba. Ludzie jedli łapczywie, jak zwierzęta. Niektórzy tylko, ci widocznie o najsilniejszych charakterach, odłożyli część chleba na potem. Po śniadaniu, za drzwiami nastąpiła zmiana warty. Poprzedni i obecni cerberzy weszli do celi i długo liczyli palcem ilu też nas tutaj jest. Szczęśliwie było tylu ile wymagał rachunek. Nastąpił nowy punkt programu. Starosta celi, bardzo sympatyczny starszy pan, zarządził połów zwierząt domowych. Wszyscy pokolei siadali na wielkim blaszanym kuble ustawionym przy drzwiach i przy pomocy paznokci załatwiali się z weszkami. Walka z wrogami ludu— pomyślałem.

Pierwszej nocy siedząc w celi po japońsku czy chińsku pod drzwiami, myślałem o wielu rzeczach bardzo od więzienia dalekich i bardzo smutnych. Niepokoiłem się przedewszystkiem o losy brata i matki, którzy pozostali w Wilnie i Bóg wie co się z nimi stało. Myślałem o przyjaciołach, którzy nie wrócili z wojska po skończonym wrześniu; myślałem o bolszewickich czołgach, które wlazły na ulice Wilna w nocy, jak wielkie i koszmarne czarne ropuchy, o szczeniakach z gimnazjum, którzy strzelali do "oswobodzicieli" w tragiczną dla Wilna noc, z siedemnastego na osiemnastego września. Tak nas dranie opadli, jak wszy w tej celi. Przyleźli dzicy, wrodzy i bestjalscy.

Rano. Przyszedł mały, jakby wypluty człowieczek z kartką w ręku. Cela zamarła. Mały nie patrząc na nas powiedział: "kto zdieś na bukwu Be?" Posypały się nieśmiało nazwiska. Ja o sobie ani pomyślałem. Byłem przecież "nowy". Lecz gdy padły wszystkie nazwiska w celi na Be, okazało się, że chodzi właśnie o mnie. Mały bardzo się zdenerwował... dlaczego się ukrywam? Sprawdził jeszcze rok urodzenia, imię i "otczestwo" i pomaszerowałem z rękoma założonemi wtył do karetki. Jechałem do Baranowicz.

Na narach w nowej celi leżało kilku panów w różnym wieku o zmęczonych twarzach. Powiedzieli mi, że to jest areszt śledczy. Będzie śledztwo..

Po godzinie znowu przyszła kartka. Szukano znowu na literę Be. Z rękoma wtył poszedłem do domku naprzeciwko. Drzwi były pomalowane na biało. Numer cztery. Taki sam numer jak nowej celi. Pokój był kwadratowy. Na środku stał stół. Siedział przy nim człowiek o ciemnej cygańskiej twarzy i błyszczących nerwowych oczach. Uczesany z rozdziałkiem. Z tyłu włosy podcięte były równo jak u popa. Na kołnierzu widniał prostokąt. Nie spojrzał na mnie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

KRZYKNĘLI WOLNOŚĆ

Krzyknęli wolność, wolność ponad wszystko
A potem wolnych zdradziecko wydali
Na łup, na zgubę, na urągowisko —
I nic. I cisza. I świat się nie wali.

I krzyczą znowu i radzą w stolicy
Jak pomóc ludom i co przyznać komu,
Kamień grobowy czy pal szubienicy,
By każdy w własnym powiesił się domu.

I krzyczą jeszcze, że właśnie tak trzeba,
Że to w nagrodę za krew i za kości,
Według przykazań tej ziemi i nieba
I że dla lepszej na wieki przyszłości.

O możni świata! Jeśli dziś spokojnie
Iść macie czoło naprzeciw stuleci
Z taką wolnością — jak kiedyś po wojnie
Spojrzycie w siebie i jak w oczy dzieci.

Jak ta wieczystość, kalendarz fałszywy,
Przetrwa proroctwo na ścianie pisane,
Gdy czterech jeźdźców wychyli się z grzywy
I w świat uderzy, jak mieczem o ścianę.

I cóż krzykniecie, gdy mściwi anieli
Powiodą ludy przez ich cmentarzysko,
Synowie wasi gdy będą ginęli?
Za co? Za wolność, wolność ponad wszystko?

RZEŹBY STANISŁAWA SZUKALSKIEGO

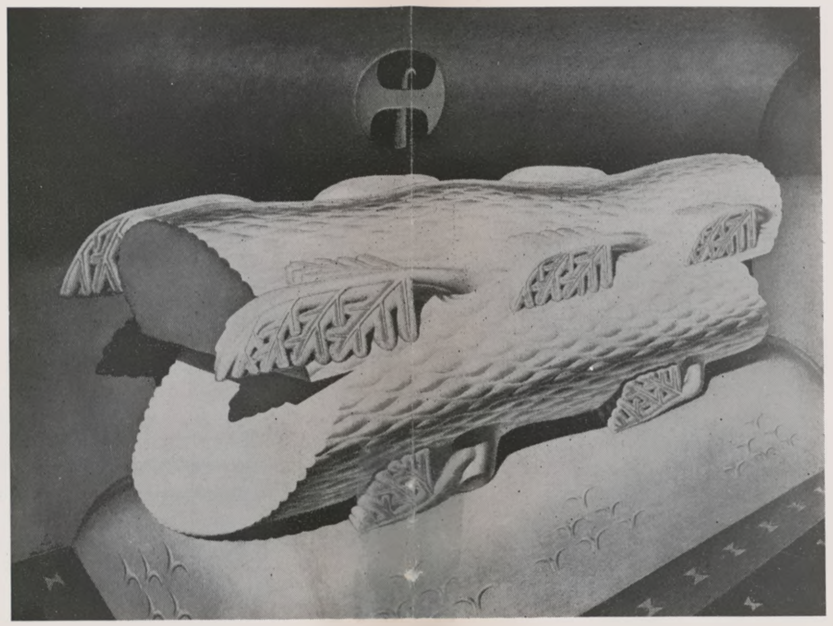
Rzeźby Stanisława Szukalskiego, których reprodukcje podajemy w obecnym numerze, są zjawiskiem artystycznem, około którego nie można przejść obojętnie. Tak jak trudno pominąć milczeniem osobę tego kowalskiego syna z okolic Kalisza, tego upartego samouka, który przez całe swoje życie szedł pod prąd ustalonych w sztuce poglądów i zasad, a zdradzał od lat najmłodszych już nie talent, ale zacięcie genjalności, zarówno w niezwykle śmiałych koncepcjach, jak i w doskonałości technicznej, tego co dokonał dłutem.

Jeżeli szukać miejsca dla Szukalskiego na tle ruchów i dążeń, żeby nie powiedzieć "szkół" współczesnych, możnaby go wprawdzie zaliczyć do grupy symbolistów, ale trzebaby to zrobić jedynie z mnóstwem zastrzeżeń, podkreślając z jednej strony niebywałą konkretność i precyzję wykonania (nic tu z impresjonizmu) z drugiej strony bardzo polski romantyzm w tematyce i ujęciu, tendencję do idealizacji, przekształcanie bohaterów na bóstwa, a dziejów na mitologję. Indywidualność Szukalskiego jest taka, że w próbach znalezienia dla niego miejsca najlepiej wyjdzie ten, kto go uzna jako osobowość artystyczną, niezależną od kogokolwiek, wybitnie twórczą, a nie odtwórczą i tem samem stanowiącą zjawisko na tle obecnych prądów i szkół w sztuce — odrębne.

Podobnie w malarstwie współczesnem własne swoje miejsce zdobyli i posiadają Dali albo Czeliczew.

Podobieństwo między nimi a Szukalskim wyraża się jedynie w bliskiej im wszystkim tendencji poszukiwania metamorfozy, czyli przemiany jednego kształtu w drugi, jednego pojęcia w drugie; łączenia poprzez sztukę nienależących do siebie z pozoru elementów i wytwarzania tym sposobem artystycznych napięć dramatu, groteski albo fantazji o skali bez precedensu. Istnieją jednak w sztuce Szukalskiego także głębokie filozoficzne koncepcje; nadaje on swoim rzeźbom rozmaite "sensy" historyczne i myślowe, któremi każdy wychodzący z pod jego dłuta kształt przeniknięty jest i nasycony.

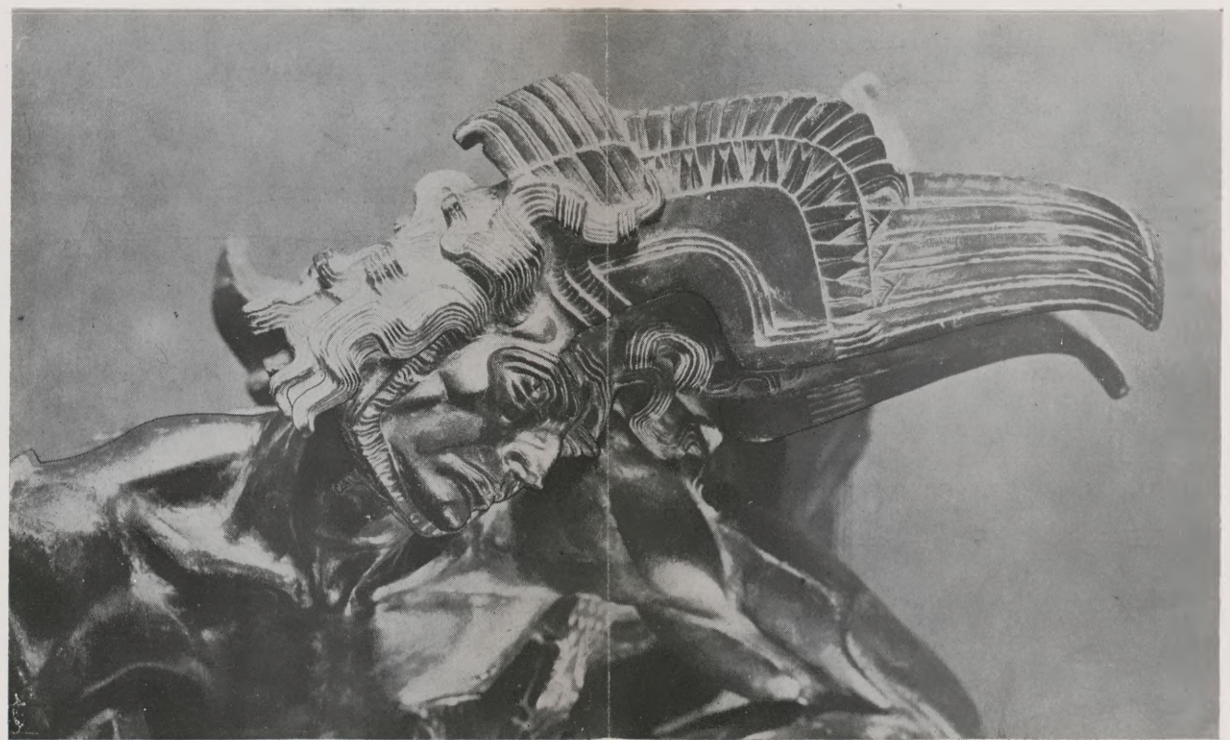
Jest jednym z dramatów tej wojny, że dorobek artystyczny tego niewątpliwie wielkiego rzeźbiarza został w Polsce i prawdopodobnie uległ zniszczeniu. Jest jednak również rzeczą niezrozumiałą, że artysta tej miary i tej niezwykłości dotąd w Ameryce nie uzyskał zamówień na pomniki, których podobizny (jak tego dowodzi np. projekt pomnika na drogę panamerykańską, u zetknięcia się granic Stanów Zjednoczonych i Meksyku) przemówić winny głębią i wspaniałością do wyobraźni wszystkich. Najwyższy czas, aby istnienie tego zapomnianego między nami artysty zostało na nowo odkryte i wykorzystane. Szukalski zasługuje na pamięć i na uwagę nietylko Polaków.



PROJEKT SARKOFAGU DLA PIŁSUDSKIEGO



POMNIK PAN-AMERYKAŃSKI



FRAGMENT POMNIKA MICKIEWICZA



POMNIK PIŁSUDSKIEGO

STEFANJA ZAHORSKA

NOC U SĘDZIEGO JEFFERSONA

DOKOŃCZENIE FRAGMENTU POWIEŚCI

Usadowiła go w fotelu, klęcząc przed nim zmywała ranę, dotyk jej palców był delikatny. Zdawała się bardzo przejęta, była w jej gestach i ruchach jakaś wylewność, nadmiar serdeczności wobec obcego człowieka. Przystawała nagle w ruchu i patrząc nagle w oczy pytała.

— Nie boli?

— Ani trochę — uśmiechał się ciągle bardzo zdumiony.

Potem wybiegła. To jej bieganie, ruchy szybkie i jakby nieskoordynowane — brała coś w rękę, odrzucała, chwytała coś innego — sprawiały wrażenie czegoś egzotycznego. Dziecinność? — nie. Miała dwadzieścia parę lat, bliżej trzydziestki. Raczej inny świat, inny sposób reakcji, inna kompozycja sposobu bycia. Ashley rozglądał sę po pokoju i wyraźnie rozróżniał dwa jego składniki: tubylczy i obcy. Mógłby powiedzieć które meble zostały przestawione. Na kominku leżała dwukolorowa wstążka, na jej tle stała fotografia, obok widoki jakiegoś miasta. Ashley zaznaczał, że naogół nie lubi egzotyki, choć spędził kilka lat w służbie dyplomatycznej na kontynencie. Musi przyznać, że najlepiej czuł się w Niemczech. Ale ona nie była Niemką.

Wróciła, trzymając w ręku prymitywny blaszany kociołek i czajnik. Nalewała herbatę do dwóch różnych filiżanek, zastawiła stół różnymi potrawami, które nie odpowiadały ani podwieczorkowi, ani kolacji. Jeszcze ktoś zapukał do drzwi i jeszcze coś zjawiło się na talerzu na stole. Był zażenowany, a ona się usprawiedliwiała:

— Mieszkam z przyjaciółmi, oczywiście, nie mam czasu sama gotować.. w południe jadam na mieście, wieczorem w domu... pani Halina gotuje.. pani Halina jest żoną właściciela mieszkania, ja odnajmuję jeden pokój i jeszcze jest jeden pokój odnajęty, zajmuje go lotnik.... tak, lotnik.... mój...... brat....

— Powiedziała: "brat"?

— Napewno powiedziała wówczas "brat". Mnóstwo rzeczy opowiedziała tego pierwszego wieczoru, choć ja o nic nie pytałem i rozmowa nie toczyła się o sprawach osobistych. To nie było gadulstwo, to był raczej ten właśnie specyficzny brak normy, jakiś brak zastrzeżeń czy dziecinna ufność — nie wiem.

— Dziecinna ufność? Ostatecznie skłamała...

— Tak, skłamała... ale to się potem wyjaśniło.

— Dowiedziałem się, że pracuje w jakimś biurze, że zarabia dwadzieścia parę funtów miesięcznie.. zdaje się, że to była prawda.

— Czy nie było sprzeczności między tym jej dochodem, stosunkowo niewysokim, a poziomem jej mieszkania, ubrania, jedzenia?

— Owszem, zdawało mi się, że wyczuwam coś podobnego. Nie mogłem jej traktować jak zwykłej panny biurowej, choć wiedziałem, że nią jest. Jej ręce.... pewna dystynkcja.... sposób prowadzenia rozmowy...

— Futro?

— Tak, futro. Zrzuciła je z ramion, kiedy weszliśmy do pokoju. Leżało cały czas na fotelu.

— To samo, w którym....

— To samo... Później, po kilku miesiącach, zdałem sobie sprawę z tego, że się ubiera dobrze, ale....

— Ponad poziom dwudziestu kilku funtów?

— Być może.

— Czy w czasie dalszej znajomości otrzymywała od pana pieniądze?

— Oh, nie. Raczej drobne upominki, bez wartości.

— Ale ostatecznie już pierwszego wieczoru musiał pan sobie zdać sprawę z tego, że jest ona poniżej pana poziomu... społecznego. Dlaczego nie przerwał pan tej wizyty.

— Istotnie, siedziałem zbyt długo. To był jeden z większych nalotów. Do stacji Knightsbridge było z dziesięć minut drogi, piechotą. Przy tym opowiadała z wielką żywością, interesująco....

Dochodziła dziesiąta, kiedy wstał i chciał się pożegnać.. W tej chwili huknęło gdzieś blisko, dom się zatrząsł, zabrzęczały szyby. Skuliła się w sobie, jak człowiek, który oczekuje, że zaleje go fala. Stała mu się nagle bardzo bliska w tym bardzo kobiecym, bezradnym geście strachu. Marjorie nigdy nie okazywała strachu podczas nalotu.

— Może pani zejdzie na dół do piwnicy — zaproponował.

— Nie — odmówiła. — To stary dom, nie wytrzyma podmuchu. Wolę żeby mnie zabiło, aniżeli zasypało żywcem. Chyba żeby pan....

— O nie — uśmiechnął się.

Był tak spokojny, jakgdyby nalot go nie dotyczył. Kiedy mu tłumaczyła, że nie może wyjść teraz, usiadł z powrotem w fotelu, nie wiedząc dobrze, dlaczego to robi. Bawiła go jej twarz o ładnych rysach, tak bardzo zmienna w wyrazie. Teraz było w niej coś w rodzaju dumy i uporu.

— Właściwie jestem do tego wszystkiego bardziej przyzwyczajona od pana. I w gruncie rzeczy mało sobie z tego robię. Przez sześć tygodni wędrowałam po moim kraju, ciągle pod bombami, pod obstrzałem karabinów...

Opowiadała o tej dziwnej wędrówce, twierdząc, że Niemcy strzelali do cywilnej ludności, która ciągnęła drogami z dziećmi i tobołkami, że bombardowali stacje kolejowe zapchane ludźmi, pociągi które wiozły uchodźców. Nie bardzo jej wierzył. Ale obraz, który malowała, był pełen dramatyczności. (Marjorie powiedziałaby tylko: "Niekiedy było raczej nieprzyjemnie"). Wyrastał z jej słów kraj dziwny, pełen kontrastów, mieszała wspomnienia przedwojenne z wojennymi. Mówiła o gorącym słońcu wrześniowym, był kurz na drogach, leżały rozkładające się końskie trupy, słychać było strzały i huki, ale przed chwilą słońce oświetlało szerokie pola zbożowe i było świadkiem zdarzenia, które nie wiadomo dlaczego było dla niej ważne: w lipcu były żniwa. Te żniwa urastały w jej opowiadaniu do symbolu, rozpadały się na szereg ważnych funkcji, koszono, wiązano snopy, wreszcie kopy zboża stały na ścierniskach. Potem powtarzała, że we wrześniu pod bombami chłopi orali ziemię. Patrzał na nią trochę zdziwiony. W Londy-

W POPRZEDNIM 33 (138) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

nie pod bombami miliony ludzi szło codziennie do pracy, nocami i w taką noc, jak ta, miliony ludzi stało przy warsztatach fabrycznych — a ona podkreśla, że w jej kraju chłopi pod bombami orali niewzruszenie ziemię. Przez chwilę uśmiechał się do siebie pod wrażeniem jej przesady. Potem zrozumiał, że właściwie ona dopiero uświadomiła mu dramatyczność tej ciągłości procy tu w Londynie i tam w tym dalekim kraju.

— Na jednej stacji pociąg stał długo. Gdzieś dalej zbombardowali tor. Czekaliśmy aż naprawią. Nagle przyszedł alarm. Widać było samoloty, zniżały się, ludzie biegli do schronu, na pola. Ktoś krzyknął: "To nie są Niemcy". I nie wiadomo kto zawołał: "To są angielskie samoloty". Anglicy przylecieli z pomocą. Ludzie stali. Kiedy maszyny były już całkiem nisko, zaczęli wołać ku nim, machać ramionami, kapeluszami, chustkami... Ja wołałam: "Thalassa, thalassa".

— Dlaczego "Thalassa"?

— Tak wołali Grecy, kiedy ujrzeli morze, którego widoku wzywali.

To był jej sposób mówienia. Znacznie później uświadomił sobie, że jest to projektowanie uczuć w fakty. Mieszanie ich. To, czego nie robiłby czternastoletni uczeń jakiejś "public school". Ale pierwsze wrażenie było uderzające swą nowością. Poza tym odkrył w tym — później — jeszcze jedną przyjemność: obraz gromadnego pragnienia, którego przedmiotem była Anglja i on sam tylko nie potrzebował potwierdzenia wielkości brytyjskiej, dlatego że był Anglikiem, był niewątpliwie przyjemny. Niekiedy mówił o tym raczej ironicznie, ale właściwie nigdy o tej wielkości nie wątpił. Ale teraz stawała przed nim, przyniesiona z daleka, z obcego środowiska i stawała się jakby faktem historycznym.

— Przecież to się rozumie samo przez się — powiedział Jefferson w tym miejscu.

— To się działo w r. 1940 — odrzekł Ashley cicho.

Ashley wielokrotnie zaznaczał, że był w owym czasie nerwowo wyczerpany. Naloty? — Nie. Chodził do biura jak zwykle, pracował więcej niż zwykle. Ale był pełen wątpliwości, cierpiał na brak pewności siebie. Nigdy mu się to przedtem nie zdarzyło. Miał jakiś przykry komplekts samotności, czuł się opuszczony. Odczuł to bardzo wyraźnie właśnie tego samego wieczoru, kiedy przywarty do muru patrzał na fantastycznie oświetlony, przerażająco pusty plac przed bramą Hyde Parku. Dlatego poszedł z tą obcą dziewczyną. Później ona potwierdziła mu jego wielkość, ku niemu wyciągała ramiona i wołała: "Thalassa". I wreszcie... — przecież to frenetyczne i dziecinne witanie rzekomych angielskich samolotów na owej stacji skończyło się dla nich bardzo smutno...

— Trzeba było być szalonym, żeby oczekiwać wówczas od nas pomocy — powiedział Jefferson i wzruszył ramionami.

— Oczywiście. Ale opowiadała bardzo żywo o tym, ilu było zabitych i rannych po tym powitaniu. Mówiła, że sama była ranna. Być może, niezupełnie jej wierzyłem. A także czułem, że każdy rozsądny człowiek byłby naprzód upewnił się, kto leci, a potem dopiero witał. Ale bądź co bądź ona była teraz w Londynie i udzieliła mi tak wylewnie pierwszej pomocy. Wiedziałem, że to jest śmieszne, ale jednak czułem się wobec niej zobowiązany. Zresztą, mówiłem panu, że cierpiałem wówczas na brak pewności siebie.

— Nie rozumiem związku.

Ashley uśmiechnął się.

— W chwilowej sytuacji, kiedy siedziałem w fotelu w jej mieszkaniu, oczywiście raczej ja potrzebowałem jej pomocy. Noga bardzo spuchła i z trudnością się ruszałem. Ale w zasadzie było przecież jasne, że to raczej ona, emigrantka bez realnych podstaw życia, może mnie potrzebować. Nie w sensie pieniężnym. Ja byłem przecież u siebie, w swoim kraju. Z entuzjazmem mówiła o Wielkiej Brytanji. Z wiarą. To było jak by cudowne lekarstwo. Rozumie pan?

Jefferson potwierdził, choć ów abstrakcyjny tok rozumowania Ashleya nie bardzo przemawiał mu do przekonania i raczej nastrajał podejrzliwie. Dlatego zadał pytanie bardziej konkretne:

— Czy w czasie tej pierwszej wizyty doszło do... do intymności?

— Nie.

— Czy pomyślał pan o tym, by zużytkować Sławską do jakichś czynnosci w związku z własnymi funkcjami urzędowymi?

— Tak... pomyślałem. Ale...

— Nie musi pan zeznawać nic takiego co by wkraczało w dziedzinę tajemnicy urzędowej.

— Wiem. Nic takiego tajnego przez moje ręce nie przechodzi.. — Ashley uśmiechnął się. — Jestem w gruncie rzeczy małym pionkiem. Wykonawcą... Ale nie znałem przecież Sławskiej, nic o niej nie wiedziałem. Pozatem zdaje się, trafnie ją od razu oceniłem.

— To znaczy?

— Romantyczka. Trochę ekscentryczna. Osobiście raczej mnie to pociągało. Wiem, że romantycy nie bardzo nadają się do współpracy. Można im polecić jakieś bardzo trudne, karkołomne zadanie. Wykonają je bez wynagrodzenia, najczęściej przy tym giną, ale musi to wynikać z ich wiary, z ich założeń. Ja się raczej obawiam tego typu ludzi.

— Ale jednak później...?

— Tak to było w warunkach przymusowych.

Ashley zadzwonił do domu dopiero po dziesiątej wieczór.

— Bardzo się o ciebie niepokoiłam — powiedziała Marjorie spokojnym głosem.

ANGLIK O POLAKACH

(FRANK SAVERY: "WARSZAWA W OCZACH ANGLIKA")

— "Nowa Polska", Tom IV, zeszyt 6, Londyn, 1945 —

Liberalizm polski jest w rzeczywistości innym wyrazem narodowego zamiłowania równości. Wszyscy Polacy, jakiejkolwiek byliby klasy, uważają, że ich życie tak winno być spędzane, jak im się podoba, założywszy, że nie kłóci to porządku życia ich sąsiadów. W konsekwencji każdy Polak jest w pełni przeświadczenia swych praw i swej godności z jednej strony, z drugiej respektuje indywidualność swego sąsiada. To poczucie prawa i obowiązków, które narodziło się i wyraża tak w życiu polskiem, świadczy o dobrem urodzeniu narodu polskiego. To dobre urodzenie nie jest przywilejem jednej klasy ale jest charakterystyczne dla całego narodu.

* * *

Nigdy od czasów Sw. Franciszka i Sw. Klary duch franciszkański nie zakwitł piękniej niżeli to było w Laskach pod Warszawą. Parę kroków od szkoły dla ociemniałych mieścił się dom odpoczynkowy dla robotników. Matka przełożona klasztoru Franciszkanek była uznana za życia za święt ąprzez ten lud który każdej niedzieli, począwszy od 8 rano wypełniał świątynie Warszawy. Nawet w czasie najgorszej pogody, gdy brakło miejsca, stali niektórzy u wrót kościoła. Wiem, że w jakiejkolwiek formie Warszawa zmartwychwstanie z gruzów, jej lud nigdy się na tyle nie zmieni żeby zapomnieć o swym kraju i jego wierze. Będą zawsze wspaniałymi patrjotami, jakimi ich znałem i będą wypełniać kościoły w dnie świąt. I po wsze czasy w ich domach; czy to ubogich, czy dostatnich znajdzie się na ścianie wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej.

OPINJE I ZDARZENIA

SZEŚCIOLETNIA ROCZNICA

1 września 1945 roku upływa 6 lat od dnia rozpoczęcia drugiej wojny światowej napadem Niemiec hitlerowskich na Polskę. Podajemy na innem miejscu sformułowanie zasad w obronie jakich Wielka Brytanja stanęła po stronie Polski, w obronie jakich rozpętała się ta najstraszliwsza burza dziejowa, zakończona dopiero oficjalnie wczoraj proklamowanym przez prezydenta Trumana V-J-Day, dniem tryumfu demokracji amerykańskiej nad totalizmem najpierw niemieckim, a potem i ostatecznie, także japońskim. Dzieli ten tryumf z Ameryką także Anglja; jej to pierwszym i najwierniejszym aljantem była ta właśnie Polska, która dzisiaj traktowana jest przez własnych sprzymierzeńców jak gdyby zapomnieli oni o jej ofiarach, o jej umiłowaniu wolności, niezwykłym w dziejach, o przyrzeczeniach, pochwałach, wyrazach uznania, podziwu i wdzięczności składanych hojnie przez obu przywódców wojujących, anglosaskich potęg — Roosevelta i Churchilla.

Przedstawicieli tej to Polski sądzono w Moskwie, reprezentanci tej to wolnej i miłującej wolność Polski siedzą dotąd za drutami w Niemczech, deportowani są do obozów rosyjskich, prześladowani w samej Polsce. Krzywda ich nadal kołacze do sumień świata, ale świat stara się tego głosu nie słyszeć, a nawet niektórzy nasi niedawni przyjaciele czynią wszystko, aby Polakom którzy walczyli do końca, głos ten czemprędzej odebrać. Jest to postępowanie zgodne z przeprowadzoną w Jałcie i Poczdamie zasadą umycia rąk od sprawy polskiej i uznania faktów dokonanych za prawną świętość, ustalając tem samem stan rzeczy w świecie, który niestety daleki jest od głoszonej jako hasło tej wojny — sprawiedliwości.

Dowodzą tego zakłopotane interpelacje posłów w parlamencie brytyjskim, izolowane głosy ludzi, nieprzestraszonych pogróżkami tyranów, oraz odezwania się tej zdrowej i uczciwej cząstki opinji publicznej, która czując, że jest źle nie oszukuje się stwierdzaniem, że jest dobrze.

Rocznica wrześniowa posiadać będzie w naszych dziejach wymowę podwójną. Dwa były wrześnie w Polsce i dwie obrony Warszawy. Jedna w roku 1939, gdzie wśród nieuchronnej klęski można się było łudzić przegraniem bitwy jedynie a nie całej wojny, i druga w roku 1944 która wśród nadziei na zwycięstwo przyniosła świadomość klęski tych ideałów, o jakie toczyła się wojna.

Na przykładzie Polski i jej losu wykazany być bowiem może niezbicie fakt, że cele i zasady wyrażone na początku tej wojny nie zostały osiągnięte. List oficera polskiego, jeńca z Murnau, który drukujemy między listami żołnierzy z Polski, jest tego zjawiska przejmującą i bolesną ilustracją.

PIĘKNA SOLIDARNOŚĆ

Tyle razy utyskiwaliśmy na naszą dyplomację, najsłuszniej, naszem zdaniem przyganiali różnym nygusom i fałszywym wielkościom emeszetowym, że tem skwapliwiej podkreślamy dziś co jest godne prawdziwej pochwały.

Za wyjątkiem **jednego** wszyscy urzędnicy Ambasady Polskiej w Waszyngtonie, wojskowi i cywilni, etatowi i kontraktowi — zwrócili swoje "białe karty" Departamentowi Stanu, oświadczając tem, że nie uważają się za urzędników nowego "rządu polskiego".

Ta manifestacja ludzi, z natury swej pracy skłonnych do kompromisów nie mająca równej sobie ani w wypadku Jugoslawji, ani żadnego innego zagarniętego przez Rosję państwa — musi niewątpliwie zrobić na Amerykanach wrażenie. Bo wszyscy nasi dyplomaci waszyngtońscy okazali tym razem, że Polacy to jest jednak, jak powiedział konsul Savery "naród dobrze urodzony" i że dla obiadów i papierków nikt z Polaków honoru nie poświęci ani z obawy ciężkiego życia nie przystanie na hańbę. No i ponadto mocny gest naszych emeszeciarzy świadczy, że "rząd w Warszawie" nie jest napewno prawdziwym rządem polskim skoro nawet żaden z układnych dyplomatów nie uważa go za własny, skoro wolą oni ciężki chleb niż stosunki z nowemi ministrami i ambasadorami.

W każdym razie parafrazując znaną lwowską piosenkę wołamy:

To był wyczyn boski,
wiwat Ciechanowski!
chociaż czas jest pieski —
wiwat Kwapiszewski!"

PAN BITNER ODMIENIONY

Pan Wacław Bitner, b. poseł na Sejm, kierownik Polskiej Agencji Katolickiej w Nowym Jorku powrócił po paromiesięcznym pobycie w Londynie — powrócił aby zlikwidować tę agencję którą do życia tutaj powołał, doskonale prowadzil w zdecydowanym duchu i której potrzeba dziś jest większa niż kiedykolwiek. Ta likwidacja nie wynika bynajmniej z jakichś zewnętrznych nacisków, ani z racji materjalnych kłopotów, które choć istotne — są oczywiście bardzo łatwe do usunięcia, zwłaszcza dla takiego majstra od tych rzeczy jak pan Bitner.

Powód tego ciężkiego uderzenia zadanego naszej sprawie na tutejszym terenie — jest zupelnie inny, i dla znajomych czytelników czy słuchaczy pana Bitnera zdumiewający.

Oto poprostu pan Bitner, który był w pierwszym szeregu nieustępliwych, który wydawał się najbardziej nieugięty, który każdem słowem dawał patenty na miękkość czy twardość patrjotyczną, który najwyraźniej pretendował do naczelnej roli w oporze — nagle po powrocie z Londynu zmienił zdanie i, może wydać się to nieprawdopodobne, ale poprostu uważa, że propaganda Polskiej Agencji Katolickiej jest niepotrzebna.

Nie spodziewając się odpowiedzi pana Bitnera, który najwidoczniej unika teraz dawnych przyjaciół i towarzyszy (nie zachodzi nawet do dawniej odwiedzanych restauracji) pozwalamy sobie niejako retorycznie go zapytać:

"Czy naskutek rozmów pana Bitnera z panem Mikołajczykiem i księdzem Kaczyńskim Rosja zrzekła się swoich pretensji do ziem polskich, czy wskutek jego porozumienia z panem Popielem szesnastu przywódców Polski Podziemnej zostało wypuszczonych z więzienia, czy w rezultacie wyrzeczenia się przez pana Bitnera jego przekonań głoszonych przez pięć lat — Gepeu wycofało się z Polski?

Bo przecież tylko takie zmiany, takie fakty mogłyby usprawiedliwić człowieka poważnego i prawdziwego polityka, — a przyznajemy się, że mieliśmy pana Bitnera za takiego,— do zmiany poglądów, które głosił publicznie, o które namiętnie walczył. Bo przecież tylko taka odmiana w losie polskim mogłaby uprawnić pana Bitnera do czynienia tego, co, bez tego usprawiedliwienia, zasługuje na bardzo brzydkie wyrazy, te same akurat jakich pan Bitner publicznie nie szczędził tym, którzy czynili to co on robi dzisiaj.

A może poprostu myśmy się mylili. Może pan Bitner nie był nigdy poważnym politykiem, może nie należało brać na serjo tego co mówił

wczoraj i tak samo nie warto przejmować się tem, co głosi dzisiaj. Może parafrazując świetne powiedzenie prof. Strońskiego o jednym z jego kolegów, chadeków, pan Bitner jest to poprostu "święty, który przegrał swój proces kanonizacyjny".

ŚP. MINISTER JAN SZEMBEK

Umarł w Estorilu pod Lizboną, przebywający tam od upadku Francji minister Jan Szembek, jeden z najlepszych, najbardziej doświadczonych i napewno najbardziej rozumnych dyplomatów polskich.

Był to człowiek wielkiej kultury ogólnej, wielkiej wiedzy, znawca i miłośnik sztuki, kompan i causeur nieporównany, wszędzie też gdzie reprezentował Polskę — więc w Budapeszcie, Bukareszcie i Brukseli jednał sobie dla tych zalet wszystkich, z którymi się zetknął. Jego sąd wytrawny, jego spojrzenie na sprawy polityczne pełne patrjotyzmu, ale też ogarniające wszystkie za1azem ich aspekty i sprzeczności były wysoko cenione przez obcych i co rzadsze przez swoich także.

Marszałek Piłsudski, mianowawszy Józefa Becka ministrem spraw zagranicznych, powołał jednocześnie własną decyzją ministra Szembeka na podsekretarza stanu, czyniąc go odpowiedzialnym za wszystkie teksty not, w których redakcji był zmarły prawdziwym asem.

W tych czasach widywał często śp. Jan Szembek Marszalka, który lubił z nim rozmawiać i, tak nieskory do słuchania, chętnie słuchał jego pełnych doświadczenia opinji.

Zdając sobie sprawę z wagi tych rozmów, notował je minister Szembek skrzętnie, z czego powstał rękopis o niezwykłej historycznej wartości, o ile wiemy przewieziony zagranicę. Byłoby rzeczą wielkiej wagi— aby już teraz praca ta dostała się w fachowe ręce i jaknajśpieszniej była odpowiednio wydana. Polski Instytut im. Józefa Piłsudskiego w Ameryce przedewszystkiem powinien o to się postarać.

STEFAN JARACZ UMARŁ

W chwili, gdy ten numer idzie na maszynę — dochodzi nas z Polski wiadomość, że Stefan Jaracz umarł po ciężkiej chorobie. Był on uznany za największego aktora polskiego naszych czasów, był też napewno największą indywidualnością, jaka pojawiła się na scenach naszych po odejściu wielkiej plejady Leszczyńskich, Rapackich, Kamińskich.

Można powiedzieć, że stworzył on nowy typ człowieka, który przed nim nigdy nie był oddany w teatrze polskim z taką pasją i głębią, był on na scenie naszej prawdziwym twórcą "szarego człowieka", którego śmieszność, cierpienie, melancholję potrafił wyrażać z największem mistrzostwem i nieporównanem uczuciem. Jaracz nie umiał i nie chciał grać królów ani wielkich bohaterów, grał ludzi biednych, zapomnianych, złamanych przez życie i grał ich z siłą i poezją, sięgającą patetycznej wielkości.

Przed czterdziestu laty, zadebiutowawszy w Krakowie po krótkim pobycie w Łodzi, przeniósł się do Warszawy i odtąd jego karjera była niekończącym się tryumfem, galerję kreacji pozornie podobnych do siebie, a przecież pełnych odmian i odcieni, które kazały nam na każdą z nich czekać jak na wielkie, twórcze zdarzenie.

"Pan Brotoneau", "Judasz" Tetmajera, "Smugoń" z "Przepióreczki", Szewc Sarnecki z "Majstra i czeladnika", Szela z "Turonia", Grzegorz Dandin, "Kapitan z Koepenick" — to tylko pierwsze z brzegu cytaty ze złotej księgi ról Jaracza, cytaty przywodzące na pamięć najczystsze artystycznie i najbardziej ludzkie nasze wzruszenia.

Jaracz był wielką osobą w teatrze i przez nowość swej sztuki, przez indywidualność swą niezwykłą, nawet fizycznie, był epoką i będzie nazawsze legendą. Napiszemy o nim jeszcze obszerniej; teraz pod pierwszem wrażeniem doszłej nas wieści dając tylko wyraz żałobie, w której śmierć Jaracza pogrąża sztukę polską.

NIEPRAWDOPODOBNE A JEDNAK PRAWDZIWE

Znajdująca się w Rosji deportowana ludność polska żyje — jak wszystkim wiadomo — w rozpaczliwej nędzy. Ci szczęśliwcy pośród Polaków, znajdujących się w Ameryce, którzy posiadają adresy swoich bliskich, czynią wszystko, aby swoim pomóc. Jedną z dróg pomocy jest posyłanie paczek. Polacy z Rosji potrzebują dosłownie wszystkiego, nawet starych, zniszczonych i według amerykańskiego standardu życia nieużytecznych rzeczy. Luksusem dla nich jest każda częć ubrania.

Otóż posłano którejś tam rodzinie stare, używane, podniszczone ubranie. Rodzina otrzymała paczkę. Doniosła o tem wysyłającemu, zaznaczając, że trzeba zapłacić za nią cło o równowartości $100.00 (stu dolarów). Opłatę tę musi rzecz prosta uiścić wysyłający. Oni bowiem nie mają nic. W tych warunkach mógłby wysłaniem paczek ze staremi rzeczami zrujnować się nawet Stalin.

Cokolwiek by jeszcze powiedzieć, to prohibicyjne cło jakie Związek Sowiecki nakłada na pomoc dla najciężej dotkniętych wojną obywateli kraju, z którego narzuconym przez siebie rządem podpisuje się umowy i któremu świadczy się nazewnątrz przyjaźń, rzuca złowrogie światło na "humanitarne" intencje i metody Rosji.

KOMITET UWOLNIENIA PETAIN'A

W dzień przyjazdu generała de Gaulle'a do Nowego Jorku ukazała się w tutejszej prasie — jako płatne ogłoszenie odezwa Komitetu Amerykańskiego Uwolnienia Petain'a, wzywająca Szefa rządu Francji aby w imię racji ludzkich, politycznych i patrjotycznych ułaskawił Petain'a.

Jest to zdumiewające. Jest jednak bardziej zdumiewające, że w sprawie naprawdę najczystszej, niewątpliwej i naprawdę wołającej do sumienia świata nie została podjęta jakaś zorganizowana akcja amerykańska. Dlaczego niema Komitetu obrony Polski, niema Komitetu Uwolnienia Okulickiego i towarzyszy, ani Komitetu Obrony II Korpusu Przed Tułactwem, ani Towarzystwa Obrony Polaków, Którzy Byli Więźniami w Niemczech.

I czy nie należałoby nareszcie o takich komitetach pomyśleć?

POTWORNOŚĆ

Jeżeli ktoś miał jeszcze wątpliwości — jaka będzie rola tzw. "rządu warszawskiego", do czego będą używani jego członkowie — dziś po ostatniej sesji UNRRY, będzie co do tego definitywnie uświadomiony. Bo oto pan Stańczyk, szef delegacji polskiej głosował wraz z Jugosławją i Czechami — oczywiście na rozkaz Moskwy przeciw pomocy UNRRY dla tych Polaków, którzy nie zechcą wracać do Polski, mówiąc wyraźniej, dla tych żołnierzy polskich, dla tych uwolnionych z obozów koncentracyjnych jeńców, którzy nie chcą wracać z obawy, że pójdą "pod stienku", czy na Syberję.

Oto do czego doszedł były polski minister po dwóch miesiącach udziału w "wolnym rządzie warszawskim", oto jakich potworności dopuszczają się ci Polacy, którzy poszli na kolaborację z Rosją. Zaczęło się tak samo jak z Petain'em — że niby to "trzeba być w kraju, żeby ratować co się da". I już teraz pan Stańczyk jako wasal moskiewski niszczy co jeszcze zostało z wolnej Polski, przykłada rękę do męczeństwa Polaków.

ZAWSZE CI SAMI

Patriotyzm Polaków amerykańskich ich wierność i przywiązanie do kraju ojców, ich troska o jego losy i szczodrze dawana pomoc w każdej potrzebie jest zjawiskiem w czasach w jakich żyjemy dostatecznie znanym, aby wymagać ono miało podkreśleń i przypominania.

Jest to zresztą latami uświęcona tradycja, dowodząca z jednej strony wierności uczuć wychodźtwa, z drugiej zaś strony faktu, że sprawa polska łączona była w Stanach Zjednoczonych z obroną najszczytniejszych wartości nietylko narodowych, lecz także i ogólno-ludzkich.

W arcydziele Alexis de Tocqueville'a p. t. "Democracy in America" (wydanie A. Knopfa), książce, której wartość utrwaliła się jako podstawowego podręcznika do zrozumienia amerykańskiego sposobu życia, znajdujemy ustęp poświęcony manifestacji na rzecz Polski w okresie powstania listopadowego w roku 1831.

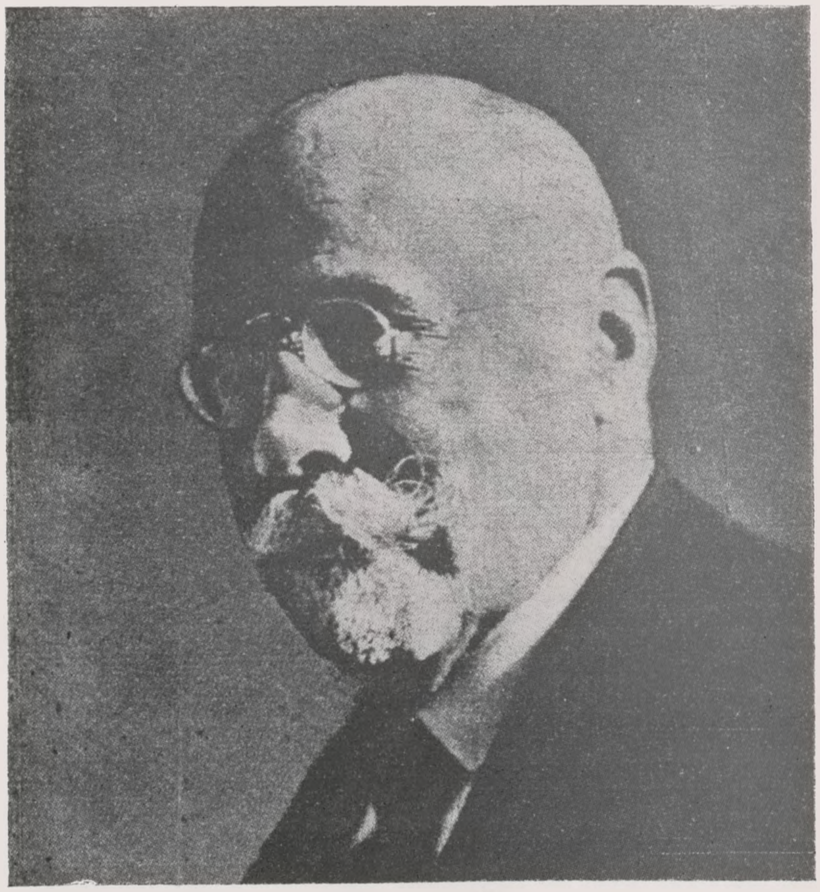
Fragment ten, nie wymagający komentarzy, przytaczamy bez zmian za pozwoleniem wydawcy:

I happened to be staying in one of the largest cities in the Union when I was invited to attend a public meeting in favor of the Poles and of sending them supplies of arms and money. I found two or three thousand persons collected in a vast hall which had been prepared to receive them. In a short time a priest in his ecclesiastical robes advanced to the front of the platform. The spectators rose and stood uncovered in silence while he spoke in the following terms:

"Almighty God! The God of armies! Thou who didst strengthen the hearts and guide the arms of our fathers when they were fighting for the sacred rights of their national independence! Thou who didst make them triumph over a hateful oppression, and hast granted to our people the benefits of liberty and peace! turn, O Lord, a favorable eye upon the other hemisphere, pitifully look down upon an heroic nation which is even now struggling as we did in the former time, and for the same rights. Thou, who didst create man in the same image, let not tyranny mar Thy work and establish inequality upon the earth. Almighty God! do thou watch over the destiny of the Poles and make them worthy to be free. May thy wisdom direct their councils, may thy strength sustain their arms! Shed forth Thy terror over their enemies; scatter the powers which take councel against them; and permit not the injustice which the world has witnessed for fifty years to be consumated in our time. O Lord, who holdest alike the heart of nations and of men in thy powerful hand, raise up allies to the sacred cause of right; arouse the French nation from the apathy in which its rulers retain it, that it may go forth again to fight for the liberties of the world.

"Lord, turn not thou thy face from us, and grant that we may always be the most religious, as well as the freest, people of the earth. Almighty God, hear our supplications this day. Save the Poles, we beseech thee. in the name of thy well beloved son. our Lord Jesus Christ, who died upon the cross for the salvation of all men. Amen."

UMARŁ WACŁAW SIEROSZEWSKI



Ś. p. Wacław Sieroszewski, znakomity prozaik polski, bojownik o niepodległość, Prezes Polskiej Akademji Literatury zmarł pod Warszawą.

Sieroszewski był jedną z najpiękniejszych postaci naszego piśmiennictwa. Jego życie i twórczość były harmonijną jednością, z którą łączyła się miłość do człowieka, umiłowanie wolności i ofiarny, zawsze czynem zatwierdzany patrjotyzm.

Zesłany w młodości za udział w socjalistycznym ruchu wyzwoleńczym na Syberję, Sieroszewski przywiózł stamtąd ludzkie i literackie odkrycie: nieznanego świata prymitywnych plemion syberyjskich z których biednego życia potrafił wydobyć akcenty głębokiej i ciepłej poezji.

Wszystko co pisał było ogrzane tem ciepłem; żadne doświadczenia i zawody nie zdołały zmrozić w Sieroszewskim jego optymizmu, przez całe życie był on wzruszającym, naiwnie ufnym idealistą.

Sieroszewski miał już dobrze po pięćdziesiątce kiedy poszedł do legjonów Piłsudskiego i służył w ułanach Beliny. Najwyższy rangą w literaturze czuł się zawsze prostym żołnierzem sprawy. Pisarz doskonały, narrator o klasycznych tendencjach, zostawia Sieroszewski ślad wieczny w polskiej literaturze i polskiej legendzie.

SYN GEN. ANDERSA

Zdzisław Bau, polski korespondent wojenny donosi:

Do dowództwa wojsk sprzymierzonych we Frankfurcie nad Menem zgłosił się 14 lipca br. młody chłopiec w zniszczonym i podartym ubraniu, a wychudzona twarz świadczyła o trudnej i pełnej przeszkód drodze, którą odbył. Chłopak poprosił stojącego przed budynkiem dowództwa żandarma o rozmowę z oficerem służbowym. Kiedy przyszedł oficer amerykański oświadczył mu, że bardzo prosi o szybkie zawiadomienie ojca, że jest tutaj.

A kto jest Pańskim ojcem? — zapytał Amerykanin. Moje nazwisko jest Jerzy Anders, a mój ojciec jest dowódcą Drugiego Polskiego Korpusu we Włoszech — brzmiała odpowiedź. Przyszedłem z Polski — dodał.

Tegoż wieczoru wysłana została depesza do dowództwa wojsk sprzymierzonych we Włoszech, że zgłosił się syn generała Andersa.

Następnego dnia, podczas pobytu generała Andersa w Gazercie, marszałek Alexander osobiście powiadomił go o odnalezieniu syna.

Nietrudno sobie wyobrazić radość i zdziwienie generała, który ostatni raz widział syna w 1939 roku, gdy wyruszał na wojnę. Chłopiec miał wtedy 11 lat.

17 lipca w niedzielę na lotnisku w Anconie wylądował samolot amerykański, na pokładzie którego znajdował się Jerzy Anders.

Na lotnisku oczekiwał go ojciec.

"W CIENIU ZAPOMNIANEJ OLSZYNY"

Nakładem naszego Drugiego Korpusu wyszedł w Rzymie tom opowiadań Juljusza Kadena-Bandrowskiego "W cieniu zapomnianej olszyny". Przeczytany na nowo tom ten potwierdza najlepsze sądy, jakie wzbudzał dwadzieścia lat temu, kiedy był rozchwytywaną ostatnią nowością. Ta książka pozornie dla młodzieży pisana i przez to w przeciwieństwie do powieści Kadena —w stylu zrozumiała i łatwa — jest utworem, który nie przeminie i będzie zawsze z równym zachwytem i wzruszeniem czytany przez starszych i przez młodzież. Inteligencja, poczucie humoru, hamowane zawsze uczucie Kadena — nieskrępowane tym razem przez jego manjerę stylistyczną — przemawiają tu z jakiemś wylaniem, łatwością, improwizacyjnym pędem. To Kaden doskonały, to książka cudowna, która nazawsze będzie nam mówić ile jeszcze Kaden mógł dokonać, jak niezwykłym był pisarzem.

LISTY POLSKICH ŻOŁNIERZY

PROF. ST. KOTOWI W ODPOWIEDZI SŁÓW KILKA

W Dzienniku Polskim z dnia 13 lipca 1945 roku ukazał się następujący list żołnierza polskiego:

"Szanowny Panie Redaktorze,

Będąc w służbie czynnej, nie mogę zabierać głosu pod mym własnym nazwiskiem, a nie chcę, by brak głosów innych był poczytany za zgodę na artykuł prof. Kota w ostatnim numerze "Jutro Polski". Dlatego też proszę uprzejmie o wydrukowanie niniejszego listu do prof. S. Kota, jako wyrazu opinji nietylko mojej, ale większości żołnierzy bez różnicy stopnie:

Prof. Stanisław Kot ogłosił w ostatnim numerze "Jutra Polski" z 8go lipca artykuł, który wymaga kilku wyjaśnień i sprostowań.

1. Prof. Stanisław Kot wzywa czy też namawia do powrotu do Kraju. Ktoś, nie znający nastrojów wśród emigracji, mógłby na podstawie tego artykułu odnieść wrażenie, że Polacy nie chcą wracać do Polski, co jest fałszem. Wszyscy chcemy wrócić do Kraju, a różnimy się tylko poglądem na to, czy możemy uczciwie i bezpiecznie wrócić. Pisze p. St. Kot, że nie czas na wichrzenie, gdy trzeba budować. Ależ my chcemy budować, a tylko nam chodzi o to, byśmy budowali, jako ludzie wolni i "po specjalnosti" a nie jako "czornoraboczyje" w łagrach, i byśmy budowali Mazowsze, Śląsk, Pomorze, a nie Sybir czy Kazakstan. Wszelkie zapewnienia prof. Kota nam nie wystarczą i ze stemplem "grupy prof. Kota" nie wrócimy, bo jeszcze niedawno słyszeliśmy przez radio ze wschodu audycję, w której Pan był cytowany jako "faszist Kot". My wiemy i chłopi i robotnicy w kraju wiedzą, kto jest Mikołajczyk i Kiernik i przedewszystkiem Witos, wiedzą oni i wiemy my, kto jest Żuławski, ale niebardzo wiemy, kto Pan jest. Jeszcze podczas Kongresu Centrolewu w Krakowie siedział pan na ławach "sympatyków" Stronnictwa Ludowego, a z czasów emigracji znamy Pana przedewszystkiem jako pierwszego polskiego ambasadora w Moskwie. Wiemy, że linja polityki śp. Gen. Sikorskiego, zainaugurowana pamiętnym przemówieniem radiowym natychmiast po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, przez Pana została skrzywiona, że Pan po roku musiał z Rosji wyjechać i że przez ten rok nie można było dokładniej popsuć stosunków naszych z Rosją.

Jeśli polityka jest sztuką przewidywania, Pan okazał się złym politykiem. Dziś chce Pan to nadrobić, a że nowonawróceni odznaczają się szczególną gorliwością, więc i Pan jest gorliwy, zbyt gorliwy.

My jesteśmy nieufni, bo mamy ku temu podstawy. Zrozumiał to sam marsz. Stalin, kiedy ostatnio oświadczył Mikołajczykowi w Moskwie, że nie żąda, by Polacy wierzyli Rosji na słowo, ale by patrzyli na czyny. Pan idzie dalej i żąda byśmy decydowali o całej przyszłości na słowo i to czyje słowo: Pana Stanisława Kota, za którym nic nie stoi.

My jesteśmy nieufni i nie lubimy "lipy", bo nam "lipa" nieraz w ciągu tych sześciu lat krzyże przygniotła. Myśmy w tej wojnie podróżowali przez zielone granice, przez "sigurezza" bukareszteńską i cytadele węgierskie, przez Mirandę, Archangielsk i Kołymę, przez obozy koncentracyjne i jenieckie, na własnych nogach lub pod wagonami, a nie za dyplomatycznym paszportem samolotami. Nas wszy żarły i szkorbut i dlatego jesteśmy nieufni. Jeśli mamy jechać, to chcemy wiedzieć, jak i dokąd. My "na ciemno" możemy iść w pokera, ale nie w całe życie i dlatego za Panem nie pójdziemy.

2. Pan pisze, że Kraj oczekuje powrotu wojska, ale żołnierz jeśli będzie mógł wrócić chce wrócić jako żołnierz t. zn. z bronią i w oddziele i to mu się słusznie należy. Żołnierz sobie tę broń wypracował i wydeptał na placach ćwiczeń we Francji, w Syrji, Iraku, Palestynie i Egipcie, na lotniskach i pokładach okrętów. Żołnierz za tę broń zapłacił, choć nam dzisiaj te pieniądze wypominają, zapłacił czekiem podpisanym nie atramentem, ale krwią tych z Narwika i Tobruku, Cassina i Ancony, Monbard, Chambois, Falaise i Arnhem, tych, którzy ginęli w powietrzu i tych, którzy nie wrócili z patroli i konwojów.

Pan pyta z emfazą, czy się damy terroryzować politykom i dziennikarzom pp. Arciszewskiego, Bieleckiego i Pragiera. Nie—my się nikomu nie damy terroryzować i Panu i politykom i dziennikarzom z Jutra Polski też nie.

3. Jeśli co jest słuszne w artykule prof. Kota to tytuł. Istotnie nie czas na wichrzenia, gdy trzeba budować. Mam jednak duże wątpliwości, czy właśnie autor artykułu jest najbardziej odpowiednią osobą do roli Skargi dwudziestego wieku. Prof. Kotowi jednomyślnie opinja emigracyjna przypisuje wiele wystąpień, które miały wszelkie znamiona wichrzenia i intryg. Powszechnie wiadomo, że podejście prof. Kota do polityki jest "personalne". Nie chcę się dłużej

nad tą sprawą rozwodzić właśnie w interesie nie wichrzenia. Jedno tylko chciałbym zadać pytanie: Czy Prof. Kot sądzi, że takie artykuły jak "Polityka personalna" i małpio złośliwy "Projekt skolonizowanej emigracji" umieszczone na 4-ej stronie Jutra Polski przyczynią się walnie do stworzenia tej atmosfery zgody i współpracy, do której on sam nawołuje na stronie 1ej? Przed rozpoczęciem egzorcyzmowania szatana niezgody i Djabła Sanacji z pośród emigracji, należałoby wpierw o szkodliwości wichrzenia przekonać członków "Koterji"."

"ZAPOMNIANI I NIEPOTRZEBNI"

Przechodząc przez wiele rąk dotarł po wielu tygodniach do Londynu list z Murnau od Polaka, byłego jeńca. List ten był pisany dnia 22 czerwca br. Czytamy w nim między innymi:

Od uwolnienia w dn. 29 kwietnia br. z niewoli niemieckiej przez oddziały 7 Armji Amerykańskej wciąż jesteśmy oderwani od świata zewnętrznego i nadal pozostajemy w niezmienionych warunkach. W dniu 11 maja odwiedził nas na krótko gen. Anders. Był to nasz jedyny kontakt ze światem zewnętrznym i od tego czasu znowu jesteśmy prawie całkowicie izolowani.

Żyliśmy wszyscy i trzymaliśmy się nadzieją zwycięstwa naszej sprawy, uwolnienia i dalszej pracy dla Narodu i Kraju. Nadzieja ta podtrzymywała nas w ciężkich psychicznie latach niewoli, niepewności, tragedji Kraju i pozostałych w nim najbliższych. Żyliśmy wiarą w Polskę, w słuszność naszej sprawy i sprawiedliwość Baską i ludzką. Wiara ta wiodła nas i pozwoliła przetrwać.

Nie mamy gazet, listów, wiadomości...

Niestety, zawiedliśmy się i to, co przeżywamy od dwóch miesięcy jest może psychicznie i nerwowo najcięższe ze wszystkich przejść ostatnich sześciu lat. Po pierwszych dniach radości ze zwycięstwa Sprzymierzonych, uwolnienia z niewoli niemieckiej, po entuzjastycznym powitaniu p. o. Naczelnego Wodza, przyszły znowu szare dni codzienne, ponowne izolowanie od świata, rozwiewanie, a przynajmniej odsunięcie w nieznaną przyszłość, wszystkich nadziei, jakimi żyliśmy przez tyle lat.

Co nas boli? Przedewszystkiem brak zainteresowania się losem i przyszłością Polaków w Niemczech wogóle, a jeńców wojennych w szczególności. CZUJEMY SIĘ ZAPOMNIANI, ZBEDNI I NIEPOTRZEBNI. Dlaczego nikt nie pomyśli o naszym głodzie wiadomości, informacji, pragnieniu wskazówek i wyjaśnień? Dopiero wczoraj wieczorem po raz pierwszy trzymałem w ręku i ze wzruszeniem czytałem jakiś stary, mocno sfatygowany numer "Orła Białego" i "Dziennika Żołnierza". Od dwóch miesięcy jesteśmy starannie izolowani, pozbawieni poczty i wiadomości, skazani jedynie na skąpe wiadomości z radja londyńskiego. Ten brak zainteresowania się losem b. jeńców i Polaków na okupowanych przez Anglo-Sasów terenach niemieckich możemy tłumaczyć sobie tylko bezwolnością czynników polskich i odsuwaniem ich od jakiejkolwiek działalności.

Jaki jest stosunek do nas Polaków, ze strony władz amerykańskich? W codziennym naszym bycie zmieniło się tylko tyle, że otrzymujemy od Amerykanów lepsze wyżywienie, niema niemieckich posterunków i że możemy wychodzić na spacery w promieniu 6 km. Poza tym nic się nie zmieniło w naszym życiu i na żadną zmianę nie zanosi się. Mamy wrażenie że dla Amerykanów nie jesteśmy sprzymierzeńcami i kombatantami a uciążliwymi b. jeńcami.

Niema dla nas prawie żadnych względów, a same zakazy, drobne, ale bardzo przykre, tym bardziej, że są to zakazy właśnie w stosunku do Polaków, a nie do miejscowej ludności niemieckiej, która korzysta ze strony amerykańskiej z pewnej opieki i pomocy ze strony swego Rządu i władz okupacyjnych.

Minęło już dwa miesiące od uwolnienia, a los i przyszłość jeńca jest nadal nieznana. Zapowiedź organizowania oddziałów pracy i zespołów administracyjnych, po wysłaniu kilku zespołów jeszcze w maju, utknęła zupełnie i niewiadomo co z tego będzie. Warunki bytu nie zmieniają się, nadal mieszkamy w tym samym ciasnym i zapluskwionym obozie. Wszelkie próby poprawienia bytu utykają na przykrych zakazach.

Wierzyliśmy wszyscy razem z wami, że wojna przyniesie prawdziwą wolność i sprawiedliwość Polsce. Niestety, wydarzenia w świecie od czasu zwycięstwa nad Niemcami wiarę tę prawie doszczętnie rozwiały.

Wszystko to razem wywołuje zwątpienie, rozgoryczenie a często nawet rozpacz. Ta zaś jest najgorszym doradcą. Czujemy, że Polska i Polacy niewiele mogą się spodziewać.

Ogólne pragnienie w obozie streszcza się w słowach: "RATUJCIE NAS Z OBOZÓW!" Nie chodzi mi wcale o siebie. Chodzi mi przedewszystkiem o młodych, którzy głęboko odczuwają opuszczenie i którzy są potrzebni dla narodu.

POSZUKIWANIA RODZIN

Mam rodzonego brata w Stanach Zjednoczonych A. P., który wyjechał z Polski w latach 1912-1913. Ostatnie wiadomości miałem w latach 1927 i dziś nie mam adresu a chciałbym nawiązać jakiś kontakt. Jestem jego najmłodszym bratem i od 6 lat nie mam żadnej wiadomości od rodziny w Polsce. On jest jedynym krewnym, i chcę odszukać go przy ewentualnej pomocy WP. Dane osobiste o bracie: Józef Popko, syn Mikołaja i Aleksandry z domu Zagórskiej, urodzony w kolonji Kościnki, gminy Chorosz, pow. i wojew. Białystok, Polska. Lat około 51.

Bomb. Popko Wacław
CMF 542, Polish Forces.

* * *

Uprzejmie proszę o łaskawe wyświadczenie mi grzeczności i ułatwienie nawiązania listownego kontaktu oraz przekazanie wiadomości p. a. Emil Zarytkiewicz, 1888 Croton Parkway, Bronx, New York — taki był adres mego stryja przed wojną. Ponieważ już pisałam bez odpowiedzi, b. proszę umieścić w dziale poszukiwań wzmianki, że rodzina w kraju, w Polsce, żyje i śle mu pozdrowienie również od siostry jego Dulęby Jadwigi.

Niezmiernie mi zależy, aby wiadomość taka dostała się do niego i aby mógł odpisać.

Z góry serdecznie dziękuję i proszę o powiadomienie o wyniku możliwie szybko.

Siostra PCK Ceglewska Jadwiga
Polish Forces, ME 233

* * *

Kan. Cywiński Zygmunt poszukuje swych krewnych Ziółkowskich, którzy wyemigrowali z Polski, z miasta Łabiszyn pow. Szubin, województwo poznańskie. "Jestem synem Cecylji Cywińskiej z domu Łepczyńska. Ostatnie miejsce zamieszkania w Polsce — m. Bydgoszcz.

Nadmieniam, że nazwisko moje zmieniłem na czas wojny z Cywiński na Puchała. Adresować do mnie: — Kan. Puchała Zygm., Polish Forces C. M. F. 338".

* * *

Mazurowska z domu Stugocka, ze Zawatów, poszukuje Rutkowskiego Rudolfa, siostrzeńca.

* * *

Grzybowski Piotr ze Zmoleń, pow. Kozienice, poszukuje Stępienia Feliksa.

* * *

Por. Wacław Szelążek, Rheda b. Wiedenbruck P/53, Polish Forces, British Liberation Army, poszukuje wuja Edwarda Biernackiego w Meksyku.